Nr. 17. Lwów, 1 września 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Z obcych światów.

(„Quer durch Indien“. Mittheilungen des n. ö. Jagdschutzvereines.)

Dokończenie.

Po dwugodzinnym odpoczynku rozpocząłem poszukiwania za tygrysicą, która według mojego przypuszczenia, była lepiej strzeloną, niż tygrys i która rzeczywiście lepiej zaznaczyła. Jednakże noc nadeszła, a pomimo silnego farbowania, nie mogliśmy w tych rozległych złomach skał dojść postrzelonego zwierza, tem bardziej, że hindusi, co zresztą łatwo jest zrozumiałem, postępowali naprzód bardzo ostrożnie i z bojaźnią do każdego otworu jaskini się zbliżali. Dałem więc za wygraną w tym dniu i wróciłem do namiotu.

Na drugi dzień, widocznie z powodu zmęczenia w dniu poprzednim i z powodu wzruszeń, jakie przeszedłem, zaspałem zwykłą moją godzinę. — Słońce było już wysoko na niebie, kiedym wyszedł przed namiot. Tutaj dziwny widok uderzył moje oczy. Obóz był pusty, kręciło się po nim tylko kilka kobiet, które towarzyszyły mężom swoim w tej wyprawie, z mężczyzn nie było ani jednego. Na ostre zapytanie, gdzie się mężczyźni podzieli, otrzymałem odpowiedź, że poszli szukać tygrysicy. Ta wiadomość wprawiła mnie w pasyę i z przekleństwem na ustach puściłem się w drogę, za zuchwałymi hindusami, którzy ośmielili się na własną rękę polować. Niedaleko jeszcze uszedłem, gdy wesołe krzyki i nawoływania dały mi znać, że ludzie nadchodzą. Wkrótce gniew mój zmienił się w radość, a nawet w pewne wzruszenie wdzięczności, ujrzałem bowiem karawanę, niosącą na czele tygrysicę. Mina moja surowa znikła, z niecierpliwością dobiegłem do

karawany i obejrzałem tygrysicę, którą hindusi znaleźli już martwą, zdaleka od miejsca strzału leżącą. Pragnęli oni zrobić mi niespodziankę i obudzić mnie wtedy, gdy już łup przyniosą.

Tak wiele szczęścia, zaraz w samym początku mojej wycieczki myśliwskiej, miało swoje niemiłe następstwa — od tej chwili stanowczo prześladowało mnie niepowodzenie. Wszystkie usiłowania zdążające do ubicia jakiejś grubej sztuki zwierzyny, kończyły się niepomyślnym wynikiem. Zrobiłem wiele i to uciążliwych marszów nadarmo, przychodziłem do miejsc, które albo były już spolowane, albo też nawiedzone zarazą. Tu panowała dżuma, tam cholera — jeżelim uciekł z takiego miejsca, przyszedłem napewno do takiego, w którem nie było wody, a zatem i tygrysa. Niekiedy dawali mi znać krajowcy, że w okolicy są niedźwiedzie — urządzałem na nie obławy w większym stylu, ale najwyżej sambury (jelenie) albo pawie wychodziły z gęstwiny. W końcu przybyłem do bardzo pięknej, prawie niezamieszkałej doliny, której środkiem szło łożysko wyschniętego w tym czasie strumienia, a o jego właściwem przeznaczeniu świadczyły tylko tu i ówdzie pozostałe kałuże. Prawy brzeg był stromy, urwisty i skalisty, a przytem pokryty różnorodnymi krzewami, co jednak nie przeszkadzało myśliwemu, na pierwszy rzut oka, nabyć tego przekonania, że poszarpane to urwisko, może być siedliskiem drapieżnych zwierząt. Lewy brzeg był z początku równy i płaski, potem zaś także wznosił się stromo w górę. Był to stanowczo rewir tygrysi — postanowiłem tu więc zostać. Zaraz pierwszej nocy rozdarł tygrys przywiązane na przynętę cielę zebu. Znalazłem zaraz trop, kazałem miot przepędzić, jednak nadaremnie. Dopiero przy powrocie do obozu miało mi się szczęście uśmiechnąć. Znajdujący się opodal po drodze odosobniony kompleks krzaków tak wyglądał zachęcająco, żem nie mógł sobie tego darować i kazałem go przepędzić. Stanąłem na drodze, którąśmy szli, zanim jeszcze naganiacze weszli w miot. Zaledwiem się rozejrzał i przygotowałem do strzału, usłyszałem trzask łamanych krzaków raz na lewo, drugi raz wprost przed sobą, tak jak gdyby zwierz nie był jeszcze pewny, którędy ma wytknąć. Za chwilę zobaczyłem przed sobą wznoszący się do góry dym — jeden z shikarich zapalił krzaki. Tego było już za dużo obsaczonemu zwierzęciu, kilka potężnych susów i nagle pojawia się przedemną zwierzę, które w pierwszej chwili biorę za tygrysa i które po moim strzale pada z dymem. Teraz poznałem w zranionem zwierzęciu panterę. Drugi strzał położył koniec jej zamiarom rzucenia się na mnie ostatkiem sił.

Przez parę dni następnych kazałem kilka razy całą dolinę przegonić, ale oprócz dwóch dotychczas nieznanych mi gatunków jeleni, które Anglicy nazywają „cheetal" i kilku pawi, nic mi się nie pokazało. Już chciałem opuścić te miejsca, ale dowódca moich shikarich prosił mnie, żebym odstąpił od tego zamiaru, gdyż, zdaniem jego, tu muszą się pojawić tygrysy, gdy tylko odpowiednia będzie pogoda. Rady doświadczonego mojego przewodnika posłuchałem.

Na drugi dzień kazałem znowu przegonić prawą ubocz góry, przytykającej do mojego obozu. Koło południa, kiedy upał stał się już prawie nie do zniesienia, a drugi miot, podobnie jak i pierwszy, żadnego nie dał rezultatu, nadbiegł bez tchu jeden z shikarich, który był ustawiony na skale dla obserwowania, co się w miocie dzieje i zaraportował mi, że zaraz obok niego wyszedł z miotu tygrys i zniknął w jednej z licznych rozpadlin skał. Natychmiast udałem się tam i znalazłem się za chwilę z całem mojem hałaśliwem otoczeniem przed otworem jaskini. Z tej jednak strony nie mogłem zajrzeć do niej, bo wystający kamień, wyższy odemnie, przeszkadzał mi w tem. Starałem się naprzód rzucanymi kamieniami skłonić mieszkańca jaskini do pokazania się, pozostało to jednak bez skutku, żaden szmer nawet nie dał się słyszeć. Kiedy podobne inne usiłowania także nie odniosły żadnego skutku, wydrapałem się na barki jednego z shikarich i w ten sposób dostałem się na terasę, która leżała bezpośrednio przed otworem jaskini. Jeszczem nie całkiem tego zamiaru dokonał i dopiero, wsparty na krawędzi skały, miałem się na nią wydobyć, gdy w tem doszło uszu moich mruczenie prawie z bezpośredniej bliskości. Podziałało to tak zachęcająco na mnie, żem w tej chwili spadł napowrót na ramiona shikarego, a potem razem z nim potoczyłem się na ziemię. Zanim zdołaliśmy się podnieść, wyrwałem leżącemu na ziemi sztuciec, bo zdawało mi się, że tygrysa mam już na karku. Kiedym jednak stanął na nogach, nie było widać tygrysa, ale mruczenie coraz silniejsze odzywało się z jaskini. Za chwilę oprócz mojego hindusa, którego używałem za drabinę, nie było przy mnie już nikogo, wszystko zniknęło w krzakach. Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tchórzostwem tamtych, a nad odwagą i poświęceniem się pozostałego towarzysza, bo sam na czworakach starałem wysunąć się z linii możliwego skoku tygrysa. Kiedy mi się to udało i gdym zaszedłszy z boku znalazł się na wysokości otworu jaskini, zapuściłem wzrok w ziejącą otchłań, w której pragnąłem dojrzeć parę błyszczących oczu. Zdawało mi się, że całe wieki w tej pozycyi wytrwałem, ale ani nic nie zobaczyłem, ani też nie było więcej słychać pomruku. Tymczasem słońce zaszło, nie pozostawało mi zatem nic innego do zrobienia, jak wycofać się do mojego namiotu.

Na drugi dzień znalazłem się znowu z całym moim zastępem, któremu za tchórzostwo wypaliłem kazanie, przed jaskinią i poczyniłem wszelkie przygotowania, celem regularnego oblężenia tygrysiej twierdzy. Tym razem zająłem stanowisko nad rozpadliną, w której przypuszczałem, że tygrys się znajduje. Na mój znak dał jeden ze shikarich parę strzałów do otworu jaskini, ale ani pomruk, ani żaden inny szmer nie zdradziły obecności tygrysa. Kilka dalszych strzałów miało ten sam skutek; właśnie chciałem przystąpić do wykurzenia upartego zwierza, gdy w tem jeden z umieszczonych na niedalekiem drzewie shikarich, zaczął dawać żywe znaki i pokazywać ręką na zagłębienie obok otworu groty. W kilku skokach byłem nad krajem uboczy, z którego mogłem spojrzeć na dół. Zaledwie tu stanąłem, ujrzałem ciągnący się niżej, równolegle do grzbietu uboczy, nad którą stałem, drugi grzbiet skały, a za nim poruszający się powoli żółty pas, który można było poznać zaraz, że należał niewątpliwie do wymykającego się tygrysa. Chociaż cel był bardzo mały i skutek strzału nie bardzo obiecujący, ale namyślać się nie było czasu, złożyłem się

więc i gdy pas żółty trochę więcej się pokazał, pociągnąłem za cyngiel. Tygrys podskoczył wysoko i z szybkością błyskawicy zwrócił się, przez co przybliżył się do mnie i dał mi lepszą sposobność do strzału. Drugi strzał powalił go, a silny odgłos upadku ze skały był znakiem, że na dole znajdę już trupa. Pomimo tego zamieniliśmy umówione znaki z naszymi posterunkami obserwacyjnymi, zanim udałem się na poszukiwanie tygrysa. Ich odpowiedź trudno było wyrozumieć, widocznie nie widzieli dokładnie miejsca, w którem tygrys powinien był leżeć, wobec tego powziąłem zamiar obejść to miejsce i dostać się na drugą stronę parowu. Obchodzenie to trwało całą godzinę. Z wielkiemi trudnościami dało się ono wreszcie uskutecznić, w końcu przybyliśmy na drugi brzeg. Ale i stąd nie ujrzeliśmy nic, mogliśmy tylko zmierzyć okiem wysokość skały, z której spadł tygrys, a już to samo zapewnić nas mogło o tem, że żywym na dół przybyć nie mógł. Rozstawiłem więc moich ludzi w łańcuch i idąc w ich środku, zacząłem podchodzić ku stopom owej 20 metrów wysokiej skały. Była to rzeczywiście syzyfowa praca. Ale te, niedające się opisać trudy, zostały wspaniale nagrodzone. Tygrys leżał rozciągnięty, a choć nie żył już, jednak boki jego poruszały się, tak, że mimowolnie wstrzymywaliśmy się w bezpośredniej bliskości i staliśmy tak długo, póki wszelki ruch w nim nie zamarł. Wtedy jednak wszystko rzuciło się, aby znienawidzonego wroga kułakować i przeklinać. Niedługo potem przynieśliśmy go do obozu. Mierzył 7 ang. stóp i pomimo upadku nie poniosła jego skóra żadnego szwanku. Większa część żeber była połamana, podobnie jak i tylna łapa. Pierwsza kula przeszła pod stosem pacierzowym, naruszywszy dwa wyrostki pacierzowe, druga przeszła przez szyję, poczyniwszy przy wylocie znaczne spustoszenia.

Gdyśmy przybyli do obozu zakomunikowały nam kobiety wiadomość, przyniesioną przez przechodzących hindusów, że w naszem sąsiedztwie policya angielska odbywa razzię za zbuntowanym szczepem Dakoitów, który miał jak najgorszą opinię. Ta wiadomość podziałała oczywiście i na mnie i zaraz w nocy poczyniłem przygotowania do odmarszu.

Już przededniem znajdowałem się w drodze. Nie miałem wyznaczonego celu, pragnąłem tylko znaleść się jak najdalej od opieki policyjnej i dlatego szedłem szybko i bez większych odpoczynków. Dżungli nie opuszczałem i szedłem ścieżkami, zaledwie dającemi przejście dla człowieka. Wreszcie skończył się las dżungli i otworzyła nam się dolina, której dno tworzyło zwykle bagno, obecnie jednak zupełnie wyschnięte. Przybliżywszy się do jednej z pozostałych błotnych kałuży, spostrzegłem jakiś czerwony kawałek materyi, który przy dokładniejszem przyjrzeniu się, wydawał mi się spodnicą, jakiej kobiety tamtejsze używają. Ciekawością wiedziony podszedłem bliżej i spostrzegłem obrzydliwe resztki trupa kobiecego, który nadszarpany był przez dzikie zwierzęta. Wszystkie poznaki nie pozwalały wątpić o tem, że przeszła tędy dżuma. Kobieta ta, pędzona straszliwem pragnieniem, nie zdołała się widocznie dowlec do kałuży i wyzionęła ducha w drodze do niej. Jak na skrzydłach uciekałem z tego miejsca, w którem pierwotnie miałem zamiar stanąć obozem i gnałem, jakby furyami pędzony, przez dżungle, tak, że ludzie moi, wyczerpani, pozostali daleko w tyle. Dopiero noc powstrzymała ten pochód — przenocowaliśmy w dżungli, ale miejsce na obozowisko trzeba było dopiero przyrządzać z pomocą siekier.

Na drugi dzień okazało się, że ludzie moi są tak zmęczeni, iż potrzeba im co najmniej dwudniowego odpoczynku. Dwie nocy spędziłem tu na zasiadce. Moja gorączka myśliwska ostygła tymczasem. Przebyte trudy i mozoły podziałały w końcu na mnie tak, że postanowiłem przecie zwrócić moje kroki ku cywilizacyi. Pomimo świetnego wyniku mojej wycieczki ciągnęło mnie coś do niesympatycznego kiedyindziej toru kolejowego, zdążałem też do niego teraz wszelkiemi siłami. Nie zaniedbywałem jednak polowania po drodze i udało mi się zabić jeszcze 4 dzikie psy, 8 nilgajów i 6 samburów.

Ostatniego dnia mojego pobytu w puszczy miałem szczęście przypatrzeć się na własne oczy ciekawemu widowisku. Badałem przez szkła teren i ujrzałem na odkrytem miejscu tygrysa, który podsuwał się pod jakąś zwierzynę. Długi czas nie mogłem dostrzedz ofiary, dopiero gdy skoczył, spostrzegłem, że chodziło tu o nilgaja, którego tygrys w trzecim skoku ujął. Tu zrobiłem spostrzeżenie, że tygrys nie rzuca się na łup swój z tyłu, jak to wszyscy twierdzą, lecz że stara się dostać do boku prześladowanej przez siebie zwierzyny i skokiem na przednie łapy pędzonego zwierzęcia stara się je powalić. Kiedy to się stało, gryzł i szarpał antylopę póty, póki żadnego śladu życia w niej nie zostało. Następnie ciągnął wolno swoją zdobycz po ziemi i zniknął z nią w gęstwinie. Dramat ten wzburzył nas do wysokiego stopnia. Zapał obudził się we mnie na nowo, otoczyliśmy szybko miejsce, gdzie tygrys się schronił i rozpoczęła się obława. Z mojego wyniosłego stanowiska na wystającej skale spodziewałem się go lada chwilę zobaczyć — stało się jednak inaczej. Był zanadto ostrożny — usłyszawszy rozstawiającą się obławę, wolał zostawić nadpoczętą zdobycz, którą hindusi znaleźli, sam zaś zniknął.

Taki był mój ostatni miot zeszłoroczny w Indyach. Wkrótce potem byłem w drodze do ojczyzny.



Opowiadanie Sabały.

Napisał

Stanisław Witkiewicz.

(Przedruk z „Przeglądu Zakopiańskiego“.)

— Witajcie Ojczyku.

— Dzień dobry — cy som zdrowi Ik miłość?

— Dziękuję, jeszcze się trzymiem.

— Fałaz Bogu. A ja prosem Ik piknie, takek przychorował, co źle się widziało se mną. Jak juz psota, zawierucha, to ten gościec nie dobrze robi. Wlazła kolka za łopatke i w jednom nogę — alek nic nie robił: — Kędyś wlazła, to se idź! — Z tego coś tak chyciło, co widziało się nie porada na świat wrócić. Ino zamgleć i zamgleć. I dobrze nie bardzo, przysłali państwo dóchtora. Juźci przyszeł, uburzył po grzybiecie, uburzył jak zółna po zgnitym pniaku, i wzion jakómsi trombecke i słuchał, cy ta owce ka we mnie nie becom. Mocny Boze! Dopiero przyńdzie Ślimak, dobił me bańkami jak luptowski pas guzikami, umaścił okowitom — ale i z tego nic. Toz to wziena me drzeć krzypota, dodarła me godnie, wypucowało tutok het! po pod pluca, cok ani smarowacki nie seł pytać, cysto, piknie me popuściło, cok terac taki zdrów jak piniondz.

Człowiek musi wiedzieć jak ma sie ratować; — kazda rzec ma swojom siłe: marny kwiatek ma swoje nazwisko i swój dowód, a i dźwirz ma przecie rozum. Człowiecy rozum ma, to jesce człowicka na rozum przebiere — hej!

— A niedźwiedź czy ma gościec?

— Człowiecego stanu jest, to musi mieć — kie je we psie jest, jakozby w niedźwiedziu nie miał być. Ale *On* sie lecyć wie! — Kie niedźwiedź wstanie z dziury to takie robaki je, a i do wody idzie i glon je, płuce sie, pote idzie na gorycke, ka gorycka przy kosodrzewinie — toz to pasie sie. I tak przegorzknie, co bieda co s niego na wiesnę flaków zjeść, — chyba w jesieni to som dobre. Raz my dwok ubili, to jeden takie zółciska miał jak dwie pięści, — ale *On* zna dóchtorskie rzecy — medycyny.

Do sytkiego trzeba zdania. I do medycyny, i do wojny, i do polowania — a i ciekawości. Nie mas to teraz takik ludzi ciekawyk jako my bywali drzewi. — Mnie nie ciężko było do dnia dolinę oblecieć, cy haw co nie mas. Nie było juz tak ciekawego na wilka, na niedźwiedzia — a i miał sprzęt do tego. Alek zrazu więcej wypsuł, wygnoił, niźli do uzytku przyniosł. Nie tak strzelać, jak nabijać nie umiał — hej!

Flinta kce być cysta. Niek po wirchu bedzie brzyćka, ale w nukak trza jom mieć cystotnie — a i ogień coby nie zdradził. Bo i od proku tak zrobi: strzela się strzela, to tam zrobi takom przyware i ogień się proku nie chyci. Kie zaś na krzemień to jak juz osełke odchyliła i skra siadła — dobrze — ale, trza było prok zawilgły porusyć, coby nie był zbarylony.

Nabij godnie, zamierzaj dobrze, strzel pewno!.., A jak strzelas daleko, albo płono nabijes — z tego nic! Pojeden nabije tak: co albo ołowu przyłozy, albo proku chybi. Jak da proku mało, a ołowu moc — przebiere ciężarem — no, to źle! Ołowem nie trza przebierać. Prokem jak strzelec kłamie, to się okłamie sam — bo to mu ino przylepi do dźwirza, a do nuka nie pójdzie. Dopiro co flinta proku przyjena garzść, a i kulami dwoma strzelił na sto kroków, nie osfyrkły się telo jak dłoń — no, to juz go mas!

Ni mas nad kule do niedźwiedzia! O, kuli usłuchnie! Cheba co nizej pod kumore się strzeli, to dziewięć dni będzie żył, pokiel flacyska nie zgnijom. I broki przebijom, ale trzeba uwazać, kie pokrocy, uchyli łopatke — wtedy łupnąć. A to hrube, mocniejsego miésa, to juz trzeba tęgo strzelać — hej! Niedźwiedź ma kudły, to jak słabe nabicie, to się w kudły owinie i on od tego nie zdeknie — zorośnie piknie; — który zaś w jesieni tłusty je, to sadłem rane zawłócy.

I dobrze, kie juz wies, co byś wiedział jak strzelić. Z grzybietu, ze zadku, a i na gardło nie pewne strzelenie — z przodku, z piersi samo to, — to ino tak tak lotki zwięznom, jak w błocie. W głowę tutok to się ozpłascy kula, — ale haw, między ocy, to som takie dziury, sionki, to i lotek kieby trafił, to do mózgu doleci.

A, i strzelec musi być serca zatwardzalsego — coby się nie bał — hej! Strzelec nie ma co się go bać przed strzeleniem. Pojeden strzelec z radości, a pojeden ze strachu drgnie — takiemu nie mas co wierzyć. Ale nimas strzelca jako taki co w sercu nie zedrzy.

Ale to drzewi o sprzęt było twardo, nie było flinty, ino na krzemień. Skoro potem kapśliki nastały, to juz to rzezało jak brzytwy. Toz to z Polski od księdzów przynosili — ale, wiedziałek o flincie w Chochołowie, co i kulom rzezała, a i dwoma, — a drugom znał u kapitana w Dzianisu to i ta dobrze kulki nosiła. Przywiózł potem za półtorasta rymskich z Wiednia Homolac pierwsy — he! to była drutówka dobra! A i na krzemień dubeltówki dwie grzecne miał.

Było mi trzy dwadzieścia roków, kiek kapślówke kupił — ale to było twarde — to mało co chybił, to alboś przybocył albo unizył. Spusty majom być lekkie w takik sprzętach co się strzela; — kie juz ma twardy spust to musi unizyć — hej!

Było to tego pirwej co było do cego strzelać! Dopiro pani z Orawy i Gróf taki z Kubina odkazowali coby Krzeptowscy nie bili — juzci Homolace pytali coby ik nie despetować. I dobrze, zamnozyły się koło Kościelisk, a i dolinom sły jak woda, bo to nie obitelne. Dopiro sam ten Gróf pismo posłał, coby Sabała strzelał; — wzięli my krzesać — wnet wykrzesali!

Orawskik naucyli my stawy stawiać, — cy przyńdzie z Luptowa cy od nas od polskiej strony — bo to



Polowanie huculów.

sędy ma swoje przechody. A Luptowscy zelaza stawiajom — oklepce. Nie słysałek coby Luptacy moc zastrzelili — ino do oklepca łapiom. Ale my: — bili! bili!

Raz, co się nie zrobiło — nalazł hutman Orawski, ka do dziury na gniazdo naniósł cetyny. Ale się bali Orawscy strzelcy i odkazali po nas — babami odkazali coby przyńść. Juźci, myślem se: baby jako baby, babie plotki! — Dy kie go tam mas, to bij sam! Dobrze nie bardzo, pośli cosi pięć dwadzieścia strzelców. A tam dziura mała była do skale, jak pod ten stół — nie trza było i strzelać, mógł siekierą w kark zaciąć — zabiłby. Wzięli dwa psy owcarskie, idom pod te skałe — a ten se lezy w tej dziurze — ale nie śpi, bo *On* nie śpi. Świstaki po Michale kiek znalazł śpiące, tog go prasnął kielo dale mógek — nie obudził się — ale *On* nie śpi.

Juźci psy przyńdom do tej dziury: Au, au! — a niedźwiedź z nuka: He! he! — idzie... Pociskali flinty — hybaj! ka ftóry móg.

— *Niech cie sto bohów zabije odebrałbyś mnie zywo zycie!*

Dopiero ja tam ide, było trzy tyźnie przed ostatkami w miesiopusty—idem i widzem cosik sło. I, cózby zaś miało być? Człek nie człek — łapy duze, łamał ten sreń — bo to na śniegu — ale taka zima była co desce lały, to takie śrenie urobiło, co bieda była przebić.

A to *On* był — juz był wygnany, juz przeseł bez trzy doliny. I haniok, na jednej skale woły legały, on sie tam pasał i legał. Miał gniazdo, ale łońskie, pod wolarniom i zawse słysał cy ka ludzie drogom nie idom — a i cuł — bo *On* cuje bardzo. Bez ocy mógłbyś go kijem zabić — ale jak zacuje hipnie.

Zdaleka trza go obeńść, — bo jakby wlazł na ten ślak coś go obchodził — to On juz wie co go strzelec obeseł. Juźci obeńde go zdaleka — nie wyseł. — Tu ześ! — Coz ja ci tu bedem robił? Bo to było wielgie, — obidwoma nogami byś stąpił po jego jednej! I, dobrze nie bardzo, obślakował go, przyleciałek po Jędrusia, po brata. — Radzimy. My by go tam zabili choj który sam, na lezysku — coby kciał cekać. Ale, cóz sami dwa bedziemy robić? Kieby nas było choć styrok — hej! skoda takiego dźwirza wypuścić, bo to jest wielgie, brzyćkie. Juźci uradzili po Siecke po Maćka, wiedzom— zje ba jesce zywy — i po Samka posłać. Poleciał Jędrek, ja zaś ostał tamok w kolibie przy wąglarzak, — sędy mi nocnik grzecny, strzelec pierzyny nie nosi, bo haw som gotowe — jedne gałęzie se upościelam, drugiemi się okryjem — i ciepło!

Przyleci Jędruś: — nie było ik doma — byli w Magurze na bani — pódź Jędruś za niemi. I dobrze; zabrali się ci, lecom na mroku i zajdź do karcymy — a Homolac Edward prawiutko z Rabki, z polowania przyjechał i wlazł ku nim.

— A wy co tu robicie?

— Tak i tak; Jasiek obślakował niedźwiedzia.

He! zabrali się panowie wartko — choć i ćma była. Strzelcy lecieli na nogak, a pani chyba na wozie, zaś Mali sankami.

Dobrze nie bardzo, lezem hań w kolibie, przyleci Symcio Tatar: — Bywaj! przyjechali panowie! Dopiero wyźrem: panowie haw, — ka jaki sprzęt mieli: flinty, stućce, rewulwerty zabrali.

Juźci Edward Homolac rzece: — Powiedz mi Krzeptowski, czy ten Niedźwiedź jest?

— Jest je!

— A powiedz mi otwarcie, cobyś robił, kieby na cie przyseł?

— Przepraszam wielkomoznego pana, juz jak my dwa się zeńdziemy, to albo ty mój, albo ja twój. — Takek mu pedział, — i takek mu wykonał.

Poślmy. Było nas sesnastu: Homolac, Mali, Symcio Tatar, Samek, Jędruś brat, Wawrzek Nędza, Maciek Siecka, Wojtek brat, nie wiem, cy go znali, co miał Gackule, Śleboda horar Orawski, — i, dobrze nie zbacem ftórzy ta jesce chłopi mieli być...

Ale, dobrze, podeśli my do doliny, a ten Śleboda poseł wyzej a rąbał wykrota, ogień kładł, bo się bał coby na niego nie przyseł.

Ja wypatrzył z doliny takom przełencke: — Musis haw przyńść! Była pyrźść ale taka miedzy skale, i zarośniona skorusynom, smreckami, posprzywalona wantami. Stanąłek pod takim gałęzistym smrekiem — cekam.

Miał Jędruś psa, puścili — sceka, sceka — ale jednym razem ustał, ani telo nie skwicał jak mys, bo byk go słysał. I co się stało? — A ten niedźwiedź tak zrobił: Kłapnął łapom w grzybiet i bechnął pieska z turnie.

I dobrze, na kwile się ucisyło — cekam. Aze dopiero słysem, we wirchu kłoda hruba strzescała — bo to jest dźwirz ciężki — stoje pod tym smrekiem i... trzask druga. — Juześ ty! — Wnet patrzem a tu skorusy, smrecki rozchylajom się, co jakbyś jedle puścił — idzie! — Ro pódź! — Idzie prosto — tu była wolarnia, ale on nie seł ku niej, bo była huściawa — wziął się po pod nie. Casem widzem: tu usy, tu grzybiet, grzywa wielga... Jako juz widzem na tej pyrźści trzymam flinte przy pysku — dopiro wytknął łeb, przysły przednie nogi — to tok łupnął pod łopatke, — alek wtencas strzelił wyraźnie! Nie becał nic, za to co bez same płuca mu kulki przesły i zalało mu gardło krwiom. — Jednegok tak trafił, cok mu te zyły od serca odcioł — to jako stał, padł, — ani wieprzek tak od noza pilno nie zdeknie, jak *On*. Cheba, jak się nie trafi, to jedzie w las becęcy.

Juźci padł! Juz widzem sytkie styry nogi wyciągnął. — Lezy na kwile ciutko... Aze potem dźwiga głowe, dźwiga.. Razem stał na przednie nogi i patrzy w to miejsce zkąd strzelony. Ja się łapiem gałęzi — hybaj! na smreka. Po strzeleniu trza straśnie warować niedźwiedzia. Jak juz poraniony godnie — hipnie obces — *On* nie lubi cobyś mu koło nosa kłół — hej!

I, dobrze nie bardzo, jako stał na przednie nogi, napirw słucha... ozmyśluje... Na ostatek sie obacył, zrozumiał co jest dziubniony, jak wzioł pyske prać, po tyk ranak, gryzł, kopyrtał się, aze poleciał skorusy targającęy. Ja za nim: peu! w grzybiet! I prawiutko naseł takiego wykrota, lóg si piknie, przednie łapy ułozył i głowę na nik jak do spania — i widziało się co zdek...

Przyńdzie Wawrzek Nędza i kciał ku niemu hipnąć. — Stój! — rzeke. — Strzelem mu po usak, to przecie pomyśli co osy furkajom, to się strząśnie, — a nie strząśnie, to pódzies, bo kie jest postrzelony to waruj! Nabiłek biegunek seść — strzeliłek — ale ani drgnoł. To był wielgi dźwirz. Dwanaście piędzi miał z pomiędzy

usy do ogana. Stare to było ale on rejestru nie nosi cy mu ta pięć, cy seść roków — hej!

Dobrze nie bardzo, — przyleci taki Jasiek z Pająkówki; — Wiecie co pedział Śleboda, Orawski leśniczy? Co go nie wyda, pokiel pismo od panów z Orawy nie przyńdzie. — Juźci rzekę: — Bede ja ci tu pisma cekał! Cemuześ go nie bił sam, kie je twój? Trzysta dyabłów zjadłeś!

Zleciałek ku panom i powiedział — panowie pojechali, a od drugiej strony zaśli. Juźci, pedzieli my Ślebodzie, co Józek trzy razy strzelił, ale hybił i *On* poseł na polskom strone.

Dopiro wzięli mu tego niedźwiedzia i ciągli na wirch ku granicy — a to było przykro do wirchu. Juźci wciągli na turnice: — Tu my będziemy śpiewać! Skrzyceli my jednym głosem i strzelili wszyscy wraz. I, były haniok takie rzeźnie, kany drzewo puscali, ja puścił tego niedźwiedzia — jedzie! Siadek na toporzysko, jadę za nim aze śnieg się kurzy! Zjechali my dołu, konie uwidziały wnet się osfyrkły ka w jakom strone.

Tak my polowali — hej!

Drzewi, kieś poseł na sarny — niedźwiedź tu! Bo to tego była moc — ale to strzelcy stępili. — Wawrzek Nędza, Samek, Myśliwiec i inni. Strzelcy duzo broniom od niedźwiedzia, od wilka, od złodziei — a i zbójniki się bojom strzelca — bo to chłop! — Dziękuje Ci tez Boze coś me nie stworzył popem — ba chłopem! Mnie się jesce, prosem Ik miłości, straśnie śnijom wirchy...



Cztery sylwetki.

1. Zając w torbie.

Zdarzenie to prawdziwe opisuję tu tak, jak się w rzeczywistości odbywało, a że działo się to w obecności całej drużyny myśliwskiej, nie obawiam się więc o zarzut niemożliwości. Trochę śniegu z rana, słaby mróz, zresztą dzień ładny; św. Sylwestra, wilia nowego roku; miejscowość w dobrze już pagórkowatej okolicy nad Dunajcem. Nie zapuszczam się w opis cudownego krajobrazu, przerżniętego szmaragdowemi falami Dunajca, z rozsiadłymi nad brzegami pagórkami, pod które drapać, a następnie ześlizgiwać się musieliśmy. Teren to niewdzięczny dla polowania, ale dzięki gospodarzowi, zawołanemu i dobremu myśliwemu, zwierzyny jest stosunkowo dużo, mimo takiego terenu, jak wspomniałem i mimo, co jeszcze boleśniejsze, najgorszego sąsiedztwa.

Jutro nowy rok, więc każdy w nadziei czegoś lepszego, bo człowiek zawsze lepszego się spodziewa; — humory były doskonałe, a jeden z towarzyszy, którego humor zawsze jest nieoceniony, opowiadał w stosownych chwilach historyjki doskonałe, więc też i naśmieliśmy się do syta.

Miot po miocie uchodził, a z nimi ostatnie chwile starego roku. Niejeden zajączek, który śmiałe knuł plany na rok nowy, a jeszcze w tej łagodnej zimie, gdzie zające bardzo wcześnie do amorów się skłaniały, zupełnie niespodziewanie tracił plany wraz z życiem, a inny zamiast planów marzeń i amorów, o doktorze i aptece myśleć musiał.

Historya liptomanów przy śniadaniu była nadzwyczajna, ale nie pokuszę się o jej opis, choćby z tego powodu, że z tym rodzajem zwierzyny nigdy się nie spotkałem. Jeżeli jednak znasz, miły czytelniku historyę hotelu „Matschakerl" w Wiedniu, a wierzysz w nią, to i z liptomanem możesz mieć spotkanie. Zgadało się też o parostkach i wtedy usłyszeliśmy historyę prześlicznej jakiejś łady, która miała rogi zupełnie regularnego szóstaka, a stąd o cudownej maści, którą gdziekolwiek zaaplikujesz, tam róg ci wyrasta!

Kilkanaście zajęcy i dwa lisy były już na rozkładzie, gdy bierzemy ostatni miot i teraz uważaj czytelniku łaskawy.

Proszę sobie wyobrazić wąziutką ścieżynę, wijącą się naokoło góry, jakby stopień nad przepaścią, bo pod nami dalszy ciąg skalistej góry, spadającej na dół jedną stroną, aż hen ku Dunajcowi. Różnica między tymi dwoma odcinkami była ta, że za nami w górę goła skała, a przed nami w dół gąszcze, krzaki i ciernie, kończące się lasem sosnowym. Pędzą z dołu do góry ku nam. Strzał przed siebie prawie niemożliwy, więc gdy zajączki drapią się na skałę, dopiero śrót morderczy sięga po nie niewidzialną ręką.

W tem znowu zając tą razą na sztych gramoli się na jednego z myśliwych, a ten nie mogąc przed siebie, puszcza go tuż koło siebie w tył i gdy zając pod górę zaczyna się wspinać, strzela. Czy z powodu gwałtownego zwrotu, czy też z innego powodu, którego sobie wytłumaczyć nie umiem, torba otwarta odwróciła się myśliwemu na brzuch, zając zaś trafiony miękko ruluje z pionowej prawie góry na dół jemu wprost do torby.

Myśliwy zbity trochę z tropu tym niespodziewanym obrotem, chwyta żywego i szamocącego się zająca i zaczyna się walka oko w oko dobrą chwilę, aż nareszcie znużony puszcza go, a zając w nogi! Strzał drugi do niego pada, a zając znika.

Sąsiedzi patrzący na to, po prostu pokładają się od śmiechu. Po miocie oglądaliśmy wszyscy torbę; w niej ładunki, faktycznie były farbą zbroczone. Podobno rycerskiego tego zająca znalazła naganka.

2. Także polowanie.

Polowanie to prowadzone swego czasu dobrze, miało reputacyą, że lisów i sarn jest dużo, a knieja bardzo ładna. Tym razem gospodarza nie było, a wicegospodarz pełnił obowiązki; jak—zobaczymy. Ja z moim towarzyszem podróży, po raz pierwszy tam jechałem. Zajeżdżamy przed ganek leśniczówki, wychodzi na spotkanie spora liczba towarzyszy w najdziwaczniejszych strojach. Jeden w kaloszach, drugi w cienkich trzewiczkach, jak do tańca, trzeci na płaszczu ma co najmniej dwa futra, a kiedyśmy weszli do izby na wódkę, kiedyśmy usłyszeli to i owo zdanie, skóra zaczęła cierpnąć na człowieku, że w pończochach się przyjechało, bo buty przynajmniej ochronę jakąś łydkom dają. — Znalazłem się nareszcie na stanowisku, po pewnych certacyach, gdyż dwóch panów, najwięcej mówiących, chciało mnie na tem stanowisku postawić, dwóch drugich zaś sprzeciwiało się temu, a wicegospodarz zgadzał się w zupełności na obydwa zdania. Sąsiad mój z lewej strony, usadowiwszy się doskonale na wspaniałej, nowiusieńkiej, czerwono-żółtej, mocno świecącej lasce, wydobył z zanadrza flaszeczkę, którą śmiało flaszką nazwać można i pociągnąwszy z niej po dwakroć, głośno chrząknął, splunął, no i zapalił cygaro, puszczając ogromne obłoki niebieskiego dymu na około siebie. Sąsiad mój na prawo stał na zagięciu i widzieć go nie mogłem. Gon rozpoczęto i 5 zajęcy, jeden po drugim, sznurkiem prawie przedefilowało na 20 kroków koło mojego sąsiada w obłokach, ale niespostrzeżone poszły za wał, za granicę. Jeden z nich jednakże wyciął słupka na wale, aby się przypatrzyć, zdaje się, jak myśliwiec wygląda i tego sąsiad mój w obłokach, plując akuratnie w tę stronę, dojrzał. Zerwał się na równe nogi, laska błyszcząca upadła i w chwili, gdy się złożył, zając znikł za wałem. Z dwóch luf zaś mego sąsiada padły dwa głośne strzały, które wał mocno uszkodziły. Zaklął głośno i mimo, że naganka była jeszcze daleko, ruszył tropować zwierza. Po miocie dopominał się, aby posłano za zającem, bo najwidoczniej farbuje.

Strzałów wogóle padło nie wiele, a rezultat był równy zeru. Miano brać miot drugi, kiedy falanga nowych zaproszonych nadjechała; nastąpiło więc zapoznawanie, no i pogadanka przynajmniej półgodzinna, a i tak rozpoczęliśmy bardzo późno. Nie żart to był żaden, bo już było nas ośmnastu, a kilku jeszcze spodziewanych. Miot drugi nic nadzwyczajnego w sobie nie miał, bo abstrahując od zwierzyny, której nie było, postawiono jedną część myśliwych w innej części lasu, gdzie naganka wcale nie dotarła. Miot trzeci miał być jeden z najlepszych, wicegospodarz zaczął rozstawiać, w tem przybiegł do już rozstawionych i zabrał ich ze sobą, gdyż pomylił się o linię i nie na tej, ale na następnej miał rozstawiać. Głośne szemranie nie zbiło go zupełnie z kontenansu i ruszono dalej. Nim się taka horda rozstawiła, nim każdy się zgodził na swoje stanowisko, drogiego czasu dużo upłynęło i zaczęto upominać się o śniadanie! Stałem w rzadkim lesie, na doskonałem, jak mówiono, stanowisku i oczekiwałem mego losu, starając się o to, żeby, ze względu na bezpieczeństwo między mną a sąsiadami, znajdowały się sosny. Naganka nareszcie ruszyła, ale nic żywego długo przed sobą nie widziałem. Raptem sąsiad mój zerwał się, złożył, znów przykucnął, znów się złożył, zaklął — w tej chwili usłyszałem dudnienie i jedna duża sztuka wprost wybiegła na mnie. Kiedy przystanęła, poznałem w niej starą kozę.

W zgrabnych lansadach skoczyła po za mnie, a gdy przez linię przechodziła, mój sąsiad na cały głos wołać począł: „Panie, rogacz!“ Po miocie zaczął mnie indagować, dla czego nie strzelałem, a gdy nareszcie po długiem tłumaczeniu się, zapewniłem go, że to była koza, rzekł: „a to dlaczego pan nie strzelał, nie szkoda takiej starej bestyi“.

Następny miot dla mnie zapowiadał się bardzo apetycznie, „lisio“, jak to mówią, kultura gęsta i wysokie trawy.

Nie wiedziałem dlaczego się nie rozstawiamy, gdy w tem usłyszałem sprzeczkę, jak miot brać należy i zdecydować trzeba było, a że jeden z panów myśliwych ogromnie głośno wykrzykiwał swoje zdania, więc ktoś o ciszę poprosił. Na to pan ten bardzo się oburzył, wymyślając, że form żadnych na polowaniu na siebie nie nakłada, zawsze głośno mówi na polowaniach i jest mu dobrze. Jako gość pierwszy raz w tych stronach nałożyłem sobie hamulec na język, choć byłbym z gustem odhamował. Zdecydowano kierunek miotu najgorzej, trzy strzały do zajęcy padły na darmo, a jednego naganka kijami zabiła. Lisy i sarny były podobno, ale poszły w bok.

Następnym miotem było śniadanie, a w tem zamięszaniu wyjechałem, żałując do dziś dnia, że tam do końca nie wytrwałem, bo była to idealna sposobność do zbierania typów niemyśliwych na polowaniu.

3. Dwa sarniki na jeden strzał.

Polowaliśmy przeważnie w polu; zajęcy było bardzo dużo, a że i krzaki i rewiry w mioty były brane, więc co chwila stadka sarn nam się pokazywały. Naturalnie, że przebijały się one po większej części przez naganke, która wtedy piekielnie ryczała. Już do osiemdziesiątki dociągaliśmy, a z końcem polowania, mimo bardzo utrudnionych rachunków, doszliśmy do 108 zajęcy i trzech sarników, które były na rozkładzie. Do bażantów strzelano bez skutku, w ogóle strzelano stosunkowo źle. W jednym z miotów stoję naprzeciwko remizy, w szczerem polu. W tej chwili wpadło do niej stadko, z jedenastu sztuk sarn złożone i wypadło z drugiej strony, zdążając do linii naganiaczy, przez których się przebija. Za chwilkę w lasek wpada sześć sztuk z innej strony i wypadają na moją stronę i na sztych zdążają na mnie. Siedziałem jak wykuty z kamienia na mojej lasce i oczekiwałem tego miłego rudla. Nadbiegają, poznaję, pierwsza koza, drugi sarnik, trzeci sarnik, na resztę nie patrzę i myśl dublety od razu zrodziła się w mej głowie. Sarny jednak same inną mi poddały. Dobiegając do mnie, sarniki do siebie coraz więcej się zbliżały, a mijając mnie, całkiem się zakryły. Strzeliłem tedy na jakie 30 kroków i obydwa w ogniu zostały. Czekałem niestety z drugą lufą, aby poprawić, jeżeliby się który zerwał. Niestety, bo tamte sarny tymczasem odbiegły — spojrzałem za uchodzącemi i poznaję jeszcze trzeciego sarnika, którego mogłem był z drugiej lufy doskonale zabić, — teraz było już za daleko.

4. Fundusz rezerwowy.

Tytuł tak poważny przeraża, a w każdym razie żdziwi niejednego z czytelników *Łowca.* Wszak pismo poświęcone myśliwstwu, nie powinno umieszczać rzeczy, które chyba tyczą się jakichś spraw bankowych, sądząc z nagłówka. Bądź bez obawy, łaskawy czytelniku, fundusz rezerwowy w tym wypadku jest tylko ze stanowiska myśliwskiego poruszany. Dzisiaj są czasy takie, że fundusz rezerwowy staje się koniecznością, niejako obowiązkiem gospodarza, aby się o niego postarał.

Prawie na każdem polowaniu okazują się niedobory pod względem rachunkowym. Gdy na rozkładzie jest sztuk 100, jestem przekonany, że rachunek zrobiony przed obejrzeniem rozkładu, wykaże 120 najmniej. Jakżeż więc ten gospodarz, chcący przynajmniej zachować pozory grzeczności, ma wywiązać się z rachunku? Oto musi zabić jak najwięcej zwierzyny, a rachować tylko to, co mu pozostanie po pokryciu niedoborów, oto jest fundusz rezerwowy. Widzi się nieraz takie rzeczy, jakie miałem sposobność obserwować na jednem z tegorocznych polowań w styczniu. W pierwszym miocie pan W. zabił jednego zająca. Pytany przez gospodarza, co zabił, odpowiada 3 zające. Żdziwiony byłem, słysząc to, ale milczałem. Zwróciłem na to uwagę innego myśliwego, jego drugiego sąsiada z tego miotu, bez potrzeby, bo już był sam to zauważył. Obserwowaliśmy tedy we dwóch. W następnym miocie ten sam pan W. chybił dwa, ale liczył sobie dwa zające, miał więc z jednego realnego 5 urojonych. I z tym jednym zającem pozostał do końca, a przy ogólnym rachunku szumnie wygłosił, że zabił 7. Niechże będzie na polowaniu dwóch takich panów, to fundusz rezerwowy gospodarza nie zawsze wystarczy, a któż ma pokryć te deficyty? A teraz, co taki pan ma za cel w tem? Stoimy w polu, więc widzimy jego czyny waleczności, po cóż więc w kłopot wprawiać gospodarza i straż leśną, którą wtedy posądzić trzeba, że ukradła, lub dała ukraść brakującą zwierzynę. A teraz spółkowe zające prawie zawsze liczone są z dwóch stron. Czyż to więc możliwe, aby rachunek rozkładu zgadzał się i czyż nie jest koniecznym i to bezwarunkowo koniecznym fundusz rezerwowy na zimowych polowaniach. Dobrze, gdy jest, ale co robić, gdy go nie ma. *A. Sumiński.*



KORESPONDENCYE.

Kurypów 10. sierpnia.

W ostatnich kilku numerach *Łowca* poruszono sprawę, bardzo według mego zapatrywania dla myśliwych żywotną, a dotychczas zupełnie odłogiem leżącą, mianowicie sprawę psów myśliwskich. W sprawie tej wypowiedzieli szanowni korespondenci bardzo szacowne uwagi, a narzekając ogólnie na psy krajowe, posłali także kilka „westchnień" pod adresem zawodowych leśników, wyrażając żal, że nie dzieje się u nas tak jak w Niemczech i Czechach, gdzie ci właśnie zawodowi leśnicy są głównymi hodowcami i wychowawcami psów myśliwskich, a przyznać im należy, że hodowlę owych psów prowadzą świetnie i jeżeli kto z naszych myśliwych chce posiadać psa w całem znaczeniu dobrego tak z pochodzenia jak kwalifikacyi, to niestety, nie u nas w kraju, ale ztamtąd właśnie nabywać go musi.

Zajmując się już od lat kilkunastu tresowaniem psów do wszelakich celów myśliwskich i będąc właśnie zawodowym leśnikiem, pozwolę sobie wypowiedzieć również kilka uwag zdaje się będących na czasie, tembardziej wobec tych „westchnień" do zawodowych leśników skierowanych.

Według mego zapatrywania trzy są najgłówniejsze powody, dla których nasi myśliwi narzekają, zresztą zupełnie słusznie, na liche psy; zastanowię się więc pokrótce nad tymi powodami.

Pierwszym powodem jest stanowczy brak dobrego materyału. Niegdyś posiadaliśmy własną, krajową rasę; były to psy pod każdym względem znakomite i właśnie na nasz teren polowania doskonałe. Nam potrzeba psów rosłych, silnych i wytrwałych, aby mogły być używane tak na terenie suchym, jako też na błotach, a także i moczarach, gdzie sitowia i szuwary tak utrudniają pływanie i chodzenie, że tylko bardzo silny pies może szukać, a zabitego, lub co gorsza, zbarczonego ptaka, odnaleść i aportować. Takie tylko psy mogą również odpowiadać coraz częściej wyrażonemu życzeniu, by były myśliwemu pomocą przy polowaniu w knieji, a nawet dopomagały w tępieniu drapieżców. Takiemi właśnie zaletami odznaczały się dawne psy krajowe. Modne jednak anglezowanie, rasę tę zupełnie wygubiło. Sprowadzone i do rzekomej poprawy psów krajowych (gdyż były to psy powolne) używane angliki, jako zupełnie nieodpowiedne dla poprawy znakomitej rasy naszej, tylko ją popsuły, a dalsze znów dla poprawy krzyżowanie tych nowych mieszańców z innemi różnemi rasami, przyczyniło się tylko do takiego przekształcenia naszej rasy, że dziś, psy polskie, niestety, stanowczo zginęły. Przed kilkunastu laty zdawało się jeszcze pojedyńczo gdzieniegdzie takiego psa widzieć, były to jednak osobniki więcej na gracyę niż do czynnej służby kwalifikujące się. Dziś stanowczo powiedzieć można, że one nie egzystują.

Gdy się zważy i tę jeszcze okoliczność, że, jak to po największej jest części, psom legawym a w szczególności sukom, nie poświęca się odpowiedniej uwagi w czasie krytycznym z powodu, że w tym czasie suki rzeczywiście są bardzo nieprzyjemne, więc jeszcze i te już nieodpowiedne mieszańce zepsuły się do reszty przez domieszkę krwi nawet wcale nie myśliwskich psów. Bardzo rzadko da się spostrzedz, by właśnie w czasie krytycznym suki legawe były odpowiedniemu, a właśnie zdwojonemu doglądowi poddane, — naturalnie nie mówię już tu wcale

o tych posiadaczach psów, którzy swą sukę w tym peryodzie wprost wyganiają za drzwi, nawet do kuchni broniąc jej dostępu. Jeżeli zaś już kto zada sobie tyle trudu, by dopilnować w tym czasie suki i dopuścić do niej tylko psa legawego, to w tym wypadku bierze się zwykle najbliższego psa w okolicy — nie zastanawiając się nad tem, że chcąc mieć dobre szczenięta, musi się dobrać rodziców odpowiedniej rasy, wieku, jak niemniej tresury. Doszło się w końcu do tego, że dziś w psach legawych krajowych nie można właściwie dopatrzeć się żadnej szczególnej poznaki, według której możnaby skwalifikować stanowczo rasę psa, a po lepszej uwadze znajdzie się, nie zawsze, ale bardzo często, wskazówki, że tam krąży więcej lub mniej krwi psom myśliwskim obcej. Tak się jednak dziać nie powinno z psami myśliwskimi, szczególniej tymi, które się znajdują w rękach zawodowych myśliwych. Nie utrzymuję, zastrzegam się, aby wszędzie tak było, ale że tylko z małymi wyjątkami jest tak, a nie inaczej, to z pewnością każdy mi przyzna.

Taki to więc mamy materyał krajowy. Naturalnie nie jest to materyał odpowiedni, gdyż to stanowczo twierdzę, że tylko psy rasy czystej, nieposzlakowanej, stanowić mogą dla celów myśliwskich materyał odpowiedni, pod każdym względem myśliwego zadowalający. To też sądziłbym, że w razie jakiejś w tym kierunku akcyi, z psami obecnej krajowej rasy, nie należałoby czynić już żadnych dalszych doświadczeń. Możnaby wprawdzie dzisiejsze psy poprawić jest to jednak bardzo długa i żmudna droga.

Drugim czynnikiem, będącym przyczyną lichoty psów krajowych, jest u nas brak ludzi dobrze psy tresujących. Po największej części każdy myśliwy sam sobie psy układa, a jeżeli nie posiada, co się dzieje w przeważnej części, ani odpowiedniej rutyny, ani czasu i sposobności do należytego wytresowania psa, z pewnością nic dobrego z niego nie wyprowadzi. Jest to rzeczą pewną, że im z lepszego „gniazda“ pies pochodzi, tem łatwiej, pewniej i lepiej utresować się daje, a posiadając już wrodzoną inteligencyę, prędko nabiera pewnej rutyny, niezbędnie na polowaniu potrzebnej, jak niemniej, że raz dobrze wytresowany, zachowuje już tę tresurę po największej części na zawsze. Pod „dobrem gniazdem“ jednak rozumie się nietylko czystość rasy, ale także szereg przodków odpowiednio tresowanych, a im ten szereg przodków dłuższy, tem dany pies lepszym będzie.

Po największej części psy krajowe tresują się sposobem zabawki — jest to bowiem sposób tresowania najkrótszy i najłatwiejszy. Stanowczo twierdzę, że taki sposób tresury jest absolutnie nieodpowiedni — zabawką pies uczony, przy lada zmęczeniu lub niezadowoleniu wymówi posłuszeństwo — jedynie „par force“ tresowane psy mogą być do celów myśliwskich odpowiedne, tresura jednak „par force“ wielkiej wymaga cierpliwości, znacznie dłuższego czasu, oddaniu się jej na cały czas potrzebny aż do zupełnego ukończenia tresury i rozumienia rzeczy, dlatego też nie każdy sposób ten, jedynie odpowiedni, zastosować może i potrafi. Kto tego sposobu tresury z własnego doświadczenia nie zna, może nabrać pojęcie o pracy, jakiej wymaga, choćby z doskonałego artykułu „Tresura wyżła“ w numerze 13 i 14 „*Łowca*“ umieszczonego. Zupełnie też słusznie twierdzi szanowny autor tej pracy, że kto nie ma odpowiedniego usposobienia, a w tym celu niezbędnego — lepiej niech się nie bierze do tresury, gdyż zamiast wytresować, zupełnie psa popsuje.

Że zaś u nas w kraju zawodowi myśliwi, którymi są w pierwszej linii zawodowi leśnicy, nie oddają się hodowli i tresurze psów myśliwskich, tak jak to jest w Czechach i Niemczech, to rzecz łatwa do wytłómaczenia. W krajach tych gospodarstwa lasowe są wszędzie absolutnie uregulowane, przestrzenie rewirów pojedyńczych są małe, a zawodowi leśnicy li tylko gospodarstwu lasowemu i myśliwstwu są oddani, mają przeto i odpowiednią sposobność i co najważniejsze, znajdą potrzebny czas, by zająć się hodowlą i tresurą psów. Inaczej niestety u nas! Albo obszary rewirów są tak wielkie, że sama zawodowa praca zupełnie absorbuje leśnika, lub też w przeciwnym razie leśnicy muszą objąć wiele innych różnych dodatkowych czynności, lub w końcu nieodpowiedne wyposażenie zmusza leśnika cały czas wolny od zajęć obowiązkowych poświęcić gospodarstwu domowemu, stanowiącemu niejednokrotnie przeważną część jego utrzymania. W ten sposób mimo najlepszych chęci nie ma się czasu ani sposobności, w odpowiedni sposób oddać się tresurze psów, zwłaszcza, gdy się ma mieć więcej niż jednego psa w tresurze. Sam zajmując się tresowaniem psów, wiem ile czasu i jakiej pracy dobra tresura wymaga, jeżeli ma być taką w tego słowa znaczeniu. Dlatego znając te stosunki zawodowych leśników, zupełnie się nie dziwię, że między nimi tak mało jest wogóle treserów, a tembardziej dobrych treserów.

Trzecim powodem, a może najgłówniejszym jest to, że za krajowego, choćby bardzo dobrego i bardzo dobrze tresowanego psa, otrzymać można u nas w kraju zbyt niską cenę. Chcąc nabyć w Niemczech lub Czechach małego szczeniaka z dobrej psiarni, zapłacić trzeba 25 zł., gdy się doliczy do tego koszta transportu, drobne wydatki i korespondencyę, wypadnie psiak taki na miejscu co najmniej na 30 złr. — u nas zaś, za psa jedno lub dwuletniego wytresowanego zupełnie, osiągnąć można 30 do 40 złr. i to się już mówi, że pies drogo zapłacony został, gdy taki sam pies sprowadzony kosztuje znacznie więcej. Trzeba jeszcze zważyć i tę okoliczność, że pies, aby był skończenie wytresowany (a tylko taki do sprzedaży się kwalifikuje) prócz tresury, że się tak wyrażę teoretycznej, musi również odbyć kurs praktyczny, to jest, musi być przez samego tresera przez jeden sezon polowania użyty do polowania, zatem musi co najmniej jeden rok życia ukończyć i prócz dobrej tresury musi na zewnątrz ładnie się prezentować a więc musi być dobrze utrzymany. Zliczywszy koszta utrzymania psa skrupulatnie, otrzymamy kwotę między 25 a 30 złr. na rok jeden. Wobec tego zapytam, jakie, po sprzedaniu wytresowanego rocznego psa, pozostaje treserowi wynagrodzenie za — proszę mi wierzyć — nieraz ciężką jego pracę, za szkody, jaką nieraz młode psy w gospodarstwie domowem lub sprzętach poczynią, za kłopot i niewygodę, jakich treser doznaje, w końcu za umiejętność, jaką nie każdy posiada. Gdy jednak psy tresowane właściwie kwalifikują się do sprzedaży dopiero po przebyciu drugiego pola, to jasno widzimy, że treserowi po sprzedaniu psa nie wracają się w tym wypadku nawet koszta utrzymania psa. U nas w kraju, tylko w szczególnych wypadkach, uzyskać można za psa taką cenę, za jaką w Czechach i Niemczech psy sprzedają, a te szczególne wypadki tak rzadko się zdarzają, że poprostu hodowla psów myśliwskich dla zawodowych myśliwych, a więc dla ludzi, którzy nie są w możności utrzymywać psa, nie mając z niego odpowie-

dniego zarobku — stanowczo się nie opłaca. Kto wie, czy ten właśnie powód nie jest tem najważniejszym, dla którego dobrych psów w kraju nie ma. Gdyby bowiem można było w kraju uzyskać odpowiednią cenę psa, to jest taką, jaką za granicą hodowcy pobierają, to niezawodnie znaleźliby się zawodowi myśliwi, którzyby mimo innych przeszkód hodowlą i tresurą psów się zajęli, znajdując za swą pracę odpowiednią zapłatę.

Podniesiona w *Łowcu* myśl założenia klubu w celu podniesienia i poprawy psów myśliwskich w kraju, jest świetną i zdaje mi się, najprędzej do celu prowadzącą. Zdaniem mojem, najłatwiej dałoby się tę sprawę w sposób taki przeprowadzić:

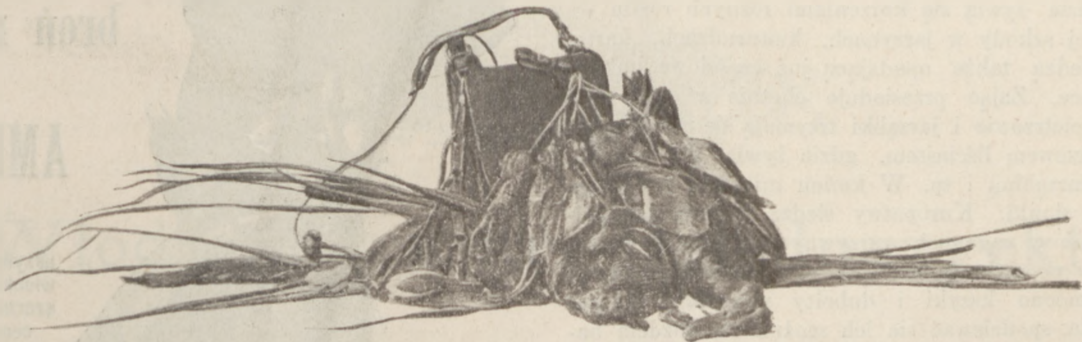
Jakkolwiek i w kraju dałoby się tu i owdzie jeszcze wynaleźć, psy niezłe, byłaby to jednak w każdym razie droga długa i żmudna, aby dopiero tę rasę psów poprawiać i sprowadzać do rasy czystej i mimo najszczerszych chęci może do niczegoby się w ten sposób nie doprowadziło; radziłbym z rasą obecnie krajową, nie czynić żadnych doświadczeń. Członkowie klubu z własnych składek powinniby zakupić z zagranicy, z gniazd dobrych i z udowodnioną czystą rasą, parkę, lub w razie możliwości, gdyby ilość członków klubu była większą, kilka par, dla zmniejszenia zaś kosztów sprowadzić szczenięta nietresowane i oddać bezpłatnie na własność dobrym treserom, którzyby się po to zgłosili pod warunkami, że a) psów tych, jakkolwiek będą własnością treserów, nie wolno jednak ani sprzedać, ani w inny sposób się pozbyć; b) że psy te mają być w zupełnie odpowiedni i do określonych z góry celów tresowane i do polowania używane; c) że psy te co roku mają być w celu przychowku łączone t y l k o m i ę d z y s o b ą z wykluczeniem łączenia pokrewnych indywiduów i w tym celu mają być prowadzone rodowody, a to dla zachowania czystej, pierwotnej rasy; d) członkowie założyciele klubu, którzy uiścili składkę na koszta zakupna i sprowadzenia psów, będą mieli prawo z potomstwa sprowadzonych psów dla siebie otrzymać bezpłatnie po jednym szczeniaku i w tym celu, przypuśćmy, połowę szczeniąt z corocznego pomiotu przeznaczyć dla członków klubu, dopokąd wszyscy w psy się nie zaopatrzą, drugą zaś połowę pozostawić co roku na własność treserów, tak, aby ci przez rozsprzedaż ich mogli mieć i wynagrodzenie poniesionych kosztów i wynagrodzenie za doglądanie i odpowiedne pielęgnowanie psów sprowadzonych, przez co bez zbytnich kosztów utworzy się zarodowa jedna lub więcej psiarń; e) aby jak największa liczba myśliwych mogła zaopatrywać się w szczenięta pochodzące ze sprowadzonych psów, należy ustanowić stałą cenę szczeniąt, naturalnie nie tresowanych, małych, któraby obowiązywała tak długo, jak długoby istniał stosunek treserów do klubu; wreszcie f) ustanowić pewien okres czasu, na jaki ciż treserzy obowiązaliby się pozostawać w stosunku do klubu pod względem tych zarodowych psów.

W ten sposób mielibyśmy własne, czystej rasy psiarnie, skądby można było dostać zawsze psy po cenie zniżonej i zarazem byłaby ułatwiona możliwość osobistego wyboru, co jest zawsze rzeczą pożądaną i w krótkim okresie czasu, bo w przeciągu paru lat, przyszlibyśmy w kraju do znacznej ilości psów rasy czystej. Niezawodnie dopokąd trwałaby obowiązująca zniżona cena, nie jeden zawodowy myśliwy postarałby się o nabycie takiego szczeniaka i w ten sposób w krótkim czasie powstałoby więcej gniazd psich. Za psy z tych gniazd pochodzące dałoby się już następnie po ukończeniu się stosunku treserów do klubu uzyskać niezawodnie cenę lepszą, a wtedy znalazłaby się i odpowiednia liczba treserów; gdyby jeszcze zostały urządzane wystawy i próby z odpowiedniemi nagrodami, to ręczę, że za lat kilka pod względem psów myśliwskich bylibyśmy na równi z Czechami i Niemcami.

Co do rasy, byłbym zdania, że niemiecka dla nas jest najodpowiedniejszą, ta i na suche pole i na moczary i na knieji najlepiej się nadaje. Gdyby zachodziła możliwość sprowadzenia naraz kilku par, byłbym zdania, by wszystkie, jakkolwiek z r ó ż n y c h g n i a z d, to jednak tej samej były rasy tak, by w przyszłości uniknąć znów krzyżowania ras różnych.

Rasy „pointerów“ angielskich stanowczo radziłbym u nas nie zaprowadzać, albowiem psy te, jakkolwiek po dobrze przeprowadzonej tresurze, nauczą się dobrze aportować i na wodę chodzić, to jednak zawsze odznaczają się temperamentem, mojem zdaniem, za gorącym do polowań błotnych, są znacznie twardsze do tresury, a nigdy na wodach nie chodzą z tą chęcią, jak psy rasy niemieckiej, w końcu po otrzymaniu nawet znakomitej tresury, gdy się dostaną w ręce myśliwego, który nie zupełnie umie i potrafi utrzymać psa w odpowiednej karności, jako psy gorącego temperamentu prędko bardzo tresurę zapominają i stają się nieposłuszne.

Modest Douillet.



Starobrody 24 sierpnia.

Pocieszającą wiadomość podaję: jeszcze dubelty nie zginęły! Pierwszy ciąg koło św. Anny był słaby. 25. lipca na Klekotowie zabiłem sześć dubeltów, cztery bataliony. 27. lipca na Sznyrowie dziesięć dubeltów. Na Bondurach 29. lipca pięć dubeltów. 30. lipca przyjechał Leopold Starzeński; zaraz nazajutrz pojechaliśmy na Klekotów — nowego ciągu nie było. Zabiliśmy pięć dubeltów, siedm krzyków i 5 batalionów; 1. sierpnia Łahodów pokazał się suchy, zabito dwie przepiórki — ja siedziałem na wózku. 2. sierpnia Sznyrów: pięć dubeltów, cztery kszyki, dwa bataliony — co było na błocie wybraliśmy — upały.

Starzeński odjechał. 4. sierpnia przyjechał Juliusz Cielecki. 5. sierpnia upał, dałem mu konie i posłałem samego na Klekotów z przekonaniem, że zrobi spacer. Wyjechał o 6-tej rano, wrócił o wpół do pierwszej; zabił 9 dubeltów, trzy kszyki — i musiał wracać na żniwa do domu. Więc to znaczy, że nowy ciąg przyszedł, ale przyszły i deszcze z piorunami. Zapewne, że można było z kilka godzin dziennie polować, kiedy burza przeszkodziła; ale starość nie radość — a przytem w sąsiedztwie piorun trzech ludzi zabił, ba! i w gazetach czytam o wypadkach z piorunami, tak, że dopiero 10. sierpnia pojechałem na Sznyrów i zastałem dużo dubeltów — ale tylko godzinę mogłem polować; zabiłem siedm dubeltów i pięć kszyków i zmoczony do nitki wróciłem do domu. 12. sierpnia w piękną pogodę pojechałem na Bondury. Zastaję zaraz za płotem sześć dubeltów — idę dalej — pies ślicznie staje, a ja doskonale strzelam. Zabiłem 10 dubeltów i zapatrzony na psa, nie widzę, że deszcz nadchodzi — aż dopiero piorun mnie opamiętał, a zaraz i deszcz lunął. I tak musiałem uciekać, do karczmy, a tu ulewa i pioruny, które mnie aż do domu przeprowadziły. Mieliśmy aż do 22. sierpnia ciągłe deszcze; i już dubelty poszły. To pewno, że 10. i 12. sierpnia, żeby nie przeszkoda, mogłem z 50 dubeltów zabić. 22. i 23. sierpnia syn mój polował. Dubeltów już nie ma. Ale było ich jeszcze dużo — dobre ciągi przyszły od 5. do 15. sierpnia. To prawda, że nie wykorzystałem ich — zapewne, że deszcze przeszkadzały, ale dawniej przeczekałem deszcz i dalej polowałem — teraz po przebraniu się, znowu leźć do błota już się nie chce. Przytem już samemu i kiedy się ma przeszkody, to się nie ma ochoty — a kochani Towarzysze zawiedli! bo żniwa! I nawet im za złe brać nie mogę, że nie przyjechali — a szkoda — bo było dubeltów jak za dawnych czasów — mogło było paść ich kilkaset.

Marceli Tyszkiewicz, delegat brodzki.



Kalendarz łowiecki.

Wrzesień.

W tym miesiącu łosie i jelenie szukają spokojnych i zacisznych miejsc wśród głębokich kniei. Sarny przebywają w niskich a gęstych lasach, skąd wychodzą na żer w brzegi przyległych pól jarzynnych. Dziki leżą w gęstwinach, w bliskości nizin żyznych, gdzie żywią się korzeniami różnych roślin — czynią jednak dalej szkody w jarzynach, kukurudzach, kartoflach i owsach. Jedzą także opadającą już częściowo bukiew i inne leśne owoce. Zając przesiaduje chętnie w owsie lub hreczce. Głuszce, cietrzewie i jarząbki trzymają się miejsc podrosłych niskiem drzewem liściastem, gdzie żywią się jarzyną, borówką, kaliną, jarzębiną i tp. W końcu miesiąca poczynają ciągnąć i zapadać słonki. Kuropatwy siedzą w zaroślach polnych, kartoflach lub w zagonach warzywnych. Dubelty ciągną jeszcze niekiedy w początkach miesiąca — z końcem pojawiają się gęsto oblane mocno kszyki i dubelty michałki. Kaczki dzikie opadają pola, spodziewać się ich można na każdem bagienku wśród pól leżącem. Wilk wyprowadza młode na zdobycz i czyni teraz tam, gdzie jest, znaczne szkody w bydle, Lisy zbliżają się do jam zimowych, wychodzą w pola dla myszkowania, nie zapuszczają się jednak zbyt daleko. Tak lis, jak żbik, kuna, borsuk, tchórz i łasica pędzą od siebie teraz dzieci, które już same żywić się muszą.

Wrzesień jest to miesiąc, w którym w Galicyi tylko zajęcy strzelać nie wolno — zresztą wszelka inna zwierzyna, oprócz zwierzyny cały rok ochroną objętej, może się stać łupem myśliwego.



Kronika.

Kuropatwy. Wylewy wód i ulewne deszcze czerwcowe w Królestwie polskiem poczyniły znaczne spustoszenia wśród kuropatw. Mnóstwo stad wyginęło. Takie same wieści nadchodzą także z Księstwa Poznańskiego, gdzie zawsze bywa kuropatw bardzo obficie.

Łowy w Indyach. Hr. Turynu opuścił Włochy w styczniu, udając się na łowy do Indyj. Jeden z towarzyszów jego, książę Leon Caetani de Teano, opisuje obecnie w *Illustrazione Italiana* przygody myśliwskie bratanka króla włoskiego. Pierwsze strzały padły na Cejlonie, gdzie zabito w ciągu kilku dni dwa słonie, pięć bawołów i dwanaście krokodyli; następnie w Darjeeling, u stóp Himalajów, położył hrabia niedźwiedzia, dwa lamparty i tygrysa; w kilka tygodni później maharadża Beharu urządził na cześć swego gościa europejskiego, świetne polowanie. Najlepsi jeźdzcy w kraju, siedząc na 140 słoniach, towarzyszyli hrabiemu w wyprawie na tygrysy. Polowano przez sześć tygodni, a za powrotem trofea myśliwskie składały się z 25 bawołów, 7 nosorożców, 3 tygrysów oraz czarnego lamparta. W kilka tygodni później zabito na jednem polowaniu trzy nosorożce, ośm bawołów i dwa jelenie — słowem łowy przyniosły plon obfity.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.